

ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI

Uniwersytet Warszawski

AD GUSTUS LICET HORTARI; GUSTUS EXPLICARE NECESSE EST

Przyszło mi kiedyś do głowy, że można by na wzór znanego łacińskiego powiedzenia *Navigare necesse est, vivere non est necesse* ukuć sentencję *Vivere non est necesse, philosophari necesse est* (potem znalazłem dokładnie tę samą trawestację w jednej z prac Izydory Dąbskiej).

Obie te myśli są przy ich literalnym lub prawie literalnym rozumieniu trafne: skoro już człowiek żyje i to żyje jako rozwinięta osoba, nie może nie działać w sposób celowy i nie może nie myśleć, a w konsekwencji musi posługiwać się kategoriami ogólnymi; nie da się bowiem mówić nie uruchamiając kwantyfikacji i negacji; a stąd już prostą drogą dochodzimy do uogólnień, ostatecznie zaś do nieuchronnego **widzenia** *universum*, tego przedmiotu filozofii.

Chętnie dodam teraz do tych dwóch konieczności jeszcze jedną; zresztą jest ona poniekąd uszczegółowieniem drugiej z poprzednio wskazanych lub też przecina się z nią. Ten dodatkowy mus wyłuszczyłem w tytule: niezbędne jest *wyjaśnianie* upodobań; można by też ten mus ująć w postaci następującej prostej trawestacji znanej maksymy: *De gustibus est disputandum*. Skąd się bierze ta konieczność? Z fenomenu, który trzeba przyjąć na samym początku wszelkich rozważań i który Arystoteles rzeczywiście wskazuje od razu w *pierwszym* zdaniu swej *Metafizyki*: chodzi o nasz niezbywalny pęd do poszerzania wiedzy.

Inaczej już jest z *zachęcaniem* do akceptacji tych lub innych *opcji* czy upodobań. Ludzie zajmują się takim zachęcaniem bardzo często, w sposób wielce naturalny i spontaniczny, to prawda; i powszechnego wyzbycia się dążeń do *propaganda fides* nie ma się co spodziewać. Mimo to zbiorową wstrzeźliwość w tym zakresie można sobie bez trudu wyobrazić, podczas gdy zbiorowość, w której by porzucono całkowicie próby *zrozumienia* własnych i cudzych dążeń, byłoby doprawdy trudno wciąż jeszcze nazywać zbiorowością *osób*. A to właśnie dlatego, że zbiorowości osób mają *wpisany* w swój los wysiłek w kierunku mnożenia wiedzy, pizy czym nie może tu zabraknąć pracy nad wiedzą o sobie samych, i to nie tylko o swej wiedzy, lecz także o swych odczuciach i związanych z nimi skłonnościach. Skłonność natomiast do *sugerowania* swych *skłonności* innym, jak każda skłonność, wraz z jej nieuchronnym przeciwstawieniem innym skłonnościom, długo może czekać

na realne pojawienie się (nawet jeżeli w *praktyce* napotyamy ją na każdym niemal kroku).

Z tego oczywiście nie może wynikać żaden negatywny stosunek do *głoszenia* przez kogoś jakiejś *opcji*. I w *tym sensie* trudno jest mi aprobować maksymę *De gustibus non est disputandum* (z taką jej intencją, jaką się zwykle w tę maksymę wpisuje) jako jakiś bezwzględny nakaz.

Uznaję więc za rzeczy naturalne i godne zainteresowania zarówno encyklikę *Evangelium vitae* z jej ostrzem antyeutanazyjnym, jak i swoiste niewielkie proeutanazyjne „encykliki” Profesora Bogusława Wolniewicza, z których jedna trafiła do jego artykułu *Dwie uwagi polemiczne* („Edukacja Filozoficzna” 22/1996) związanego z moją wypowiedzią pt. *Świętość jakości życia?* („Przegląd Humanistyczny” 2/1996). I widzę dużą siłę motywacji stojącej za opcją proeutanazyjną, a w sugestywny sposób w różnych miejscach prezentowanej przez prof. Wolniewicza.

Jednakże prof. Wolniewicz, jak się zdaje, nie dostrzegł, że *ja* w swoim artykule wcale *nie agitowałem* na rzecz tych czy innych *opcji*, w tej liczbie na rzecz *opcji* antyeutanazyjnej. Moim zamierzeniem, które wielokrotnie w swym artykule starałem się klarować, było coś zupełnie innego: mianowicie właśnie *wyjaśnienie* *sobie*, jakie jest *tło* różnych idei dotyczących życia i śmierci, a wśród nich idei antyeutanazyjnej, i jakie są należące do tego *tła* związki logiczne.

I kiedy prof. Wolniewicz powiada, że w moim artykule „konkluzja zgodna z encykliką jest z góry założona” oraz że popełniam błąd *petitionis principii*, to nie ma racji, ponieważ *ja* w ogóle nie przeprowadzam żadnego wyводу *faktualnego*, na końcu którego stałaby moja *konkluzja* „zakazuje się w sposób bezwzględny eutanazji”, *konkluzja* ukryta już jednocześnie gdzieś na początku wyводу. „Z góry przesądzony”, a faktycznie przyjęty po prostu jako pewne *datum*, jest w moim artykule rzeczywisty, np. papieski, *wyбір* antyeutanazyjny; *ja* ze swej strony zastanawiam się nad tym, czy można znaleźć jakieś nieidentyczne z tym wyborem okoliczności, z którymi ten wybór się wiąże; choć, trzeba to podkreślić, mógłby to być wybór całkowicie samoistny, odrębny od wszystkiego, a nie tracący jeszcze przez to w żadnej mierze charakteru normy, którą ktoś chce propagować: można przecież jej uroki starać się przybliżyć komuś tylko przez unaocznienie tej normy *samej w sobie*; skuteczność takiej strategii lub strategii odmiennej, strategii, „*quasi*-konkludowania”, to sprawa całkiem osobna.

Wspomniane przed chwilą „*quasi*-konkludowanie” znajdujemy natomiast u prof. Wolniewicza, kiedy mówi on, że otrzymany od Boga dar rozumu i woli dyktuje nam w pewnych okolicznościach (jest to, jak można wnosić z innego artykułu prof. Wolniewicza pt. *Eutanazja w świetle filozofii*, nade wszystko sytuacja, według jego określenia, czyjegós „sponiewierania”) sa-

mobójstwo lub pomoc innym w zakończeniu życia. Ale ten „dyktat” jest właśnie zaledwie „quasi-konkludowaniem”. Dlaczego? Bo ów dar *rozumu i woli* to tylko (w odniesieniu do interesujących nas tu spraw) dar *uświadomionej poczwórnej alternatywy*: kontynuowania życia, nawet w „sponiewieraniu”, bez rozterki na ten temat, przerywania życia, a wraz z nim ewentualnego „sponiewierania”, rozterki w odniesieniu do dwu poprzednich możliwości, obojętności w stosunku do obu tych możliwości. „Rozum” podsuwa nam przed oczy tę *alternatywę* oraz różne okoliczności towarzyszące poszczególnym jej składnikom; odpowiadające im *działania* są niezawisłe, tzn. znajdują się po prostu *poza* „rozumem”. Działanie nie jest żadną konkluzją. Od uznania *pewnych* uroków przerywania życia (lub kontynuacji życia) można, a nawet trzeba, w płaszczyźnie mowy, przejść do uznania uroków przerywania życia (*resp.* kontynuacji życia). Ale do samego przerywania życia (*resp.* jego kontynuacji), a nawet do autentycznej skłonności do jego przerywania (*resp.* kontynuacji), jest wciąż jeszcze *nieskończenie* daleko. „Rozum” nic nie pomoże nawet w rozstrzygnięciu na rzecz „aktywności” w przeciwstawieniu do „obojętności” („niech się dzieje wola nieba”): bo i tu przedstawi on jedynie odpowiednią alternatywę. W ostateczności chodzi o przeciwstawienie „brania losu we własne ręce” i „pokory”. Tu „rozum” nadal *pokazuje* alternatywę. Któryś z jej członów zostanie zrealizowany, to rzecz pewna, ale to już nie jest udziałem „rozumu”. (Wszystko to odpowiada wypowiedziom prof. Wolniewicza należącym do jego „drugiej uwagi polemicznej”, w których rozróżnia on, jakże trafnie, „powinność materialną” od „powinności formalnej”.)

Zajmę się teraz moją omawianą przez prof. Wolniewicza próbą rekonstrukcji owego *tha* idei antyeutanazyjnej. Prof. Wolniewicz przeinacza tę rekonstrukcję gruntownie, przypisując mi bezsensowną tezę: „z tego, że każdy jest dla kogoś nietykalny, wynika, iż każdy jest dla każdego nietykalny”, mimo że *explicite* mówiłem o oczywistym *braku* takiego wynikania. Dlatego muszę przypomnieć, o co mi chodziło.

Na wstępie przyjmuję *powszechność* „zasady prosopononii”.

Zasadę tę można w skrócie przedstawić tak: nikt nie chce, by ktokolwiek wyróżniony jedynie w sposób dowolny podporządkowywał sobie całkowicie *wszystkich*. Warunkiem koniecznym tego jest obecność *czyjegoś* chcenia w odniesieniu do *każdej* osoby, by była ona dla *kogoś* nietykalna (szczegółowo i formalnie odpowiednie związki logiczne przedstawiam w artykule pt. *Logiczne, nielogiczne, pozalogiczne*. „Przegląd Humanistyczny” 5, 1996). Chcenie to dopuszcza nawet całkowite podporządkowanie danej osoby komuś innemu, pod warunkiem jednakże, iż właściwości tego kogoś innego zostaną w określony sposób wyspecyfikowane, przy czym przez ten „okre-

ślony sposób” rozumie się coś innego niż sama w sobie prosta jego *identyfikacja* za pomocą *dowolnych* środków.

Dodajmy teraz do tego fakt następujący: osoby istnieją i samo istnienie *jakichś* osób jest powszechnie aprobowane.

Z połączenia wskazanych faktów wynika *założenie egzystencjalne* „zasady prosopononii”: owa nietykalność osób, choćby w tak ograniczony sposób rozumiana, jak to zostało przedstawione, *ma być realizowana*, tzn. wyłącza się jej spełnienie puste.

Otóż to *założenie* zostaje, w minimalnej co prawda części, przez akt samobójczy podważone. To nie musi wprawdzie, ale *może*, odstręczać od niego. Oczywiście, od samobójstwa mogą odstręczać i inne rzeczy: np. niemożliwość spełnienia jakichś zobowiązań samobójcy wobec innych; ale ja ograniczam się do przywołanego przed chwilą *ontologicznego* tła czyjś ewentualnego niechętnego stosunku do samobójstwa.

W ślad za tym, i w sposób, rzekłbym, nawet wzmocniony przez inne okoliczności (których tu nie będę ponownie wskazywać), odstręczać może także eutanazja; i odstręcza ona rzeczywiście wielu. Czy mnie też? - mógłby zapytać prof. Wolniewicz. Ja z kolei mógłbym na to pytanie nie chcieć odpowiedzieć (mój przez prof. Wolniewicza krytykowany tekst pozwala jedynie na domysły); mógłbym wskazać na swoje całkiem odmienne zainteresowania, które podyktowały mi dyskutowaną właśnie wypowiedź.

Jeżeli wszakże mam już ostatecznie przejść na płaszczyznę „adhortacji”, której unikałem w swym artykule, to powiem: tak, eutanazja odstręcza mnie; ale głównie ze względu na te *inne* okoliczności, do których charakterystyki podanej w moim artykule przed chwilą odesłałem (mógłbym tu dodatkowo odesłać do artykułu pt. *A man convinced against his will is of the same opinion still*, jaki napisałem dla „Edukacji Filozoficznej” w związku z artykułem prof. Wolniewicza pt. *Eutanazja w świetle filozofii*).

O samym w sobie samobójstwie, którego rozważanie jest decydująco wiążące dla podejścia do problemu eutanazji (w czym jestem całkowicie zgodny z prof. Wolniewiczem; warto tu przypomnieć, że znana ustawa o eutanazji od niedawna obowiązująca na Terytorium Północnym Australii jest faktycznie ustawą o szpitalnym umożliwianiu określonych samobójstw, a także że wciąż niepenalizowany Kevorkian dokonuje aktów właśnie *tego* rodzaju), pisałem całkiem wyraźnie, że *nie jest ono wykroczeniem wprost* przeciwko „zasadzie prosopononii”, nawet przy jej *najszerszym* zastosowaniu, lecz jedynie *cząstkowym zniesieniem jej założenia*; a nie jest ono takim wykroczeniem, ponieważ nie ma *nic wspólnego* z dążeniami totalitarnymi, skoro w ogóle nie dotyczy innych jako ewentualnie sobie całkowicie podporządkowywanych; co więcej, wszelkie ewentualne przyszłe akty totalitarnie ze strony samobójcy wyklucza (choć wyłącza też samobójcę, ktoś

mógłby powiedzieć: „niestety”, z międzyludzkiej solidarności „prosoponomijnej”, czyli antytotarystycznej).

Gdzież w tym wszystkim są jakieś „sofizmaty”, których użycie zarzuca mi prof. Wolniewicz? Inaczej mówiąc: gdzie są tu ukryte w jakiejś żonglerce słownej błędy *non sequitur* w odniesieniu do faktów? Nawet ich być nie może: bo upodobania, a o nich tu mowa, nie tkwią w żadnych faktach, one tylko faktów dotyczą. Jeszcze raz muszę powtórzyć: w swoim artykule *zastanawiałem się nad naturą* pewnych upodobań, *nie propagując* ze swej strony żadnych. Nie głosiłem nawet „zasady prosoponomii”; o tej ostatniej mówiłem tylko, słusznie czy niesłusznie, że jest powszechna (stąd oczywiście prawie wynika, że przypisuję jej wyznawanie i wiedzę o takim jej powszechnym wyznawaniu wszystkich, których znam, m. in. także prof. Wolniewiczowi i sobie; jakoż biorę na siebie *skądinąd* takie przypisanie, ale nie o nie chodziło w moim artykule).

W tym miejscu dotknę innego zarzutu prof. Wolniewicza. W odróżnieniu od prof. Jacka Jadackiego, który w artykule pt. *O nietykalności życia ludzkiego* („Przegląd Humanistyczny” 3, 1996) wyraża zasadnicze powątpiewanie (co prawda, nie poparte żadną argumentacją) odnośnie do powszechności „zasady prosoponomii”, prof. Wolniewicz tej jej właściwości nie podważa. Razi go natomiast „trywialność” „zasady prosoponomii” (*nota bene* dziwne jest *jednoczesne* potraktowanie jej przez prof. Wolniewicza jako, jego zdaniem, najprawdopodobniej mojego „pobożnego życzenia”; dziwna jest także jego opinia o niejasności logicznego statusu „zasady prosoponomii” w moim artykule: omawiam tę rzecz szczegółowo na paru stronach mojego tekstu, które pokazują ową zasadę jako *syntetyczną konstatację* dotyczącą ludzkich chęci w odniesieniu do problemu ewentualnego całkowitego podporządkowania jednych osób innym; *explicite* prezentuję tę zasadę jako coś znajdującego się poza definicją ‘osoby’, co powinno było zaoszczędzić prof. Wolniewiczowi trudu zastanawiania się nad tym, czy jest to składnik tej definicji).

Ja ze swej strony nie będę przeczył swoistej trywialności „zasady prosoponomii”. Powiem tylko, że jakieś „trywialności” po *powszechnej* zasadzie właśnie należy się spodziewać; sama w sobie obecność tej cechy nic nie zmienia w układzie spraw, o które chodzi. Są sprawy „trywialne”, ale bardzo doniosłe; przykładem niech będzie zdanie „istnieją, i to w sposób konieczny, zdania prawdziwe” (zdaniu temu, poza całą plejadą myślicieli od czasów starożytnych, poświęcił wiele uwagi Bolzano, rozważając je w obszernym fragmencie swej *Wissenschaftslehre*).

Jaką wszakże doniosłość ma powszechne wyznawanie przez ludzi „zasady prosoponomii”? Po pierwsze, tę, że jest to zasada antytotarystyczna. Po drugie zaś tę, że dzięki zawartemu w niej „miejscu niedookreślenia” w po-

staci braku specyfikacji, skądinąd traktowanej jako niezbędna, osób, które mogą się znaleźć w relacji „osoba całkowicie podporządkowująca” - „osoba całkowicie podporządkowana”, stwarza ona określony system *zastosowań* odznaczających się coraz większym stopniem *zbliżenia* do „totalitaryzmu”, system z pewnym wyróżnionym punktem „zerowym”. Tym punktem jest zastosowanie, które nazwałem *par défaut*, a które polega na *negatywnym*, czyli pustym, wyborze (tak, to też jest wybór!, i jako taki był przeze mnie przedstawiony w inkryminowanym artykule, wbrew przeciwstawnej sugestii prof. Wolniewicza, sugestii, jakoby miało tu chodzić o jakieś wynikanie logiczne), wyborze specyfikacji osób przeznaczonych do „podporządkowywania sobie innych” i osób przeznaczonych do „bycia podporządkowanymi”; to zastosowanie *par défaut* rozciąga nietykalność na wszystkie osoby w ich stosunku do wszystkich osób.

Prześmiewanie przez prof. Wolniewicza „zasady prosoponomii” sprowadzające się do podsuwania różnych zabawnych, niby to w sposób oczywisty dowodzących jej absurdalności, „paralel” jest oparte na serii nieporozumień, ponieważ są to tylko „paralele” w cudzysłowie: natura odpowiednich obiektów pojęciowych jest gruntownie różna.

Przytaczane przez prof. Wolniewicza na zasadzie „analogicznego” kuriozum zalecenie „nie wrywać dębów z korzeniami” jest, przy założeniu, że chodzi o ręczne wrywanie dużych dębów, śmieszne, bo jest adresowane do kogoś, kto i tak odpowiedniego działania nie podejmie, a nawet nie będzie chciał podjąć, ponieważ podjąć go nie jest w stanie i wie o tym. „Zasady prosoponomii” ta śmieszność się nie ima, jako że „podporządkowywanie sobie” innych osób (w ogóle lub w pewnych określonych okolicznościach), np. ich zabijanie, jest w pełni wykonalne.

Z kolei tablica na plaży przypominająca, że można utonąć, jest pozbawiona informatywności. Tymczasem „zasada prosoponomii” *jest* nienaganie informatywna, bo przedkłada ona jako stan podlegający dyskwalifikacji nie pewną możliwość, czyli niesprzeczność (do której w gruncie rzeczy w ogóle nie można zachęcać), lecz syntetyczne stany podporządkowania innych osób (w całej ich populacji, tzn. na zasadzie Hobbesowskiej „wojny wszystkich ze wszystkimi”, lub w jej określonych fragmentach), którym przeciwstawiają się niekompatybilne z nimi, równie syntetyczne i równie możliwe, odmienne stany rzeczy (braku czyjegokolwiek podporządkowania lub braku takiego podporządkowania przy spełnieniu takich czy innych warunków). Kiedy więc prof. Wolniewicz mówi, że z opisu zawartego w „zasadzie prosoponomii” wynikają tylko (prawdziwe) zdania analityczne, to nie ma racji: opis ten ma charakter syntetyczny, a, jak wiadomo, z (niesprzecznych) zdań syntetycznych wynikają nie tylko zdania analityczne, lecz także pewne zdania syntetyczne.

Do logicznego *abc* należy fakt, że zdanie mówiące o relacji *R* między pewnymi obiektami, bez zastrzeżenia, które to są obiekty, i przy założeniu, że chodzi o relację, która może zachodzić między dowolnymi obiektami w danym uniwersum, *dopuszcza* zachodzenie relacji *R* między nimi wszystkimi, ale takiej wszechobejmującej sytuacji *nie przesądza*. O tej oczywistości mówiłem w swym artykule, w odniesieniu do „zasady prosoponomii”, wielokrotnie i z naciskiem; obawiałem się bowiem, jak się okazuje, słusznie, przykrych nieporozumień. I oto prof. Wolniewicz opowiada o jakoby przyjmowanym przeze mnie *wynikaniu* nietykalności wszystkich z nietykalności niektórych (w sytuacji braku wskazania tych ostatnich); podsuwa on czytelnikowi obraz człowieka (mam go do złudzenia przypominać), który z tego, iż *ktoś* jest czymś znajomym, wnioskuje, że *wszyscy* są znajomymi tej osoby. Tymczasem ja dobrze wiem, że kiedy prof. Wolniewicz mówi o wielu paralogizmach w moim artykule, to nie wynika z tego jeszcze, że jego zdaniem są tam *same* paralogizmy; ale z drugiej strony przyzna on chyba, że takiej sytuacji nie wykluczył, iż jest to jeden z możliwych denotatów frazy „jest tam wiele paralogizmów” (bo artykuł jest długi i rzeczywiście obejmuje wiele wnioskowań).

Trzeba tu dodać, że w wypadku „zasady prosoponomii” *dopuszczenie* nietykalności wszystkich wobec wszystkich prowadzi nas do możliwego denotatu o statusie rzeczywiście wyróżnionym: bo jest to jedyny denotat mający identyczny stosunek do wszystkich innych, w tym sensie, że we wszystkich innych występuje *jakaś* specyfikacja osób podporządkowujących i podporządkowywanych, notorycznie kłopotliwa i notorycznie zdezerzająca się głównie z takimi *pozytywnymi* a odmiennymi specyfikacjami. W tym miejscu rzeczywiście zbliżam, z ryzykiem błędu egzegetycznego, osoby, które pociąga wskazana najprostsza opcja negatywna, do osób podpadających pod Chrystusowe pojęcie „ubogich duchem”. Nie zmienia to w najmniejszym stopniu faktu, że i tu chodzi o opcję, a nie „konkluzję”.

Zwróćę dodatkowo uwagę na to, że krzywe zwierciadło niby-wynikania „ktoś jest znajomym, ergo wszyscy są znajomymi” postawione przez prof. Wolniewicza rozmija się z obiektem, który miało ośmieszyć, z innego jeszcze powodu. W wypadku przejścia od zalecenia (bo „zasada prosoponomii” jest ostatecznie zaleceniem) „poznaj kogoś” do próby jego realizacji w kształcie „poznam wszystkich” łatwo natrafimy na kłopoty z wykonalnością; wiąże się to oczywiście z *twierdzącym* charakterem zalecenia. Inaczej jest z zaleceniami *przeczącymi*. Jeżeli nawet sytuacja „nikt nie zna nikogo” jest trudna do wyobrażenia ze względu na nasze doświadczenia empiryczne (ale i tak na pewno zmniejszanie liczby znajomych jest bardziej wykonalne niż rozszerzenie ich kręgu na wszystkich ludzi), to *wszechobejmujący negatywny* stan rzeczy, o który chodzi w „zasadzie prosoponomii”, jest już

stuprocentowo łatwy do wyobrażenia: oto nikt nie podporządkowuje sobie całkowicie nikogo, nie zaś tylko: „nikt nie podporządkowuje sobie *wszystkich*” (to ostatnie jest minimalistyczną realizacją skądinąd rzeczywiście minimalistycznej, ale właśnie dzięki temu powszechnej, „zasady prosoponomii”: „nikt nie podporządkowuje sobie wszystkich, chyba że zachodzą pewne szczególne dotyczące go okoliczności”). Z kolei powszechne, a więc dotyczące dowolnej przygodnej osoby, nastawienie na podporządkowywanie sobie wszystkich dostępnych ludzi jest też wyobrażalne; z tego zaś wynika, iż sytuacja „totalitaryzmu”, przeciwko której właśnie skierowana jest „zasada prosoponomii”, jest obiektem zdania syntetycznego; ten fakt podtrzymuje, w ostatecznym efekcie, syntetyczność zdania obrazującego to, czego chce wyznawca „zasady prosoponomii”, czyli praktycznie każdy.

Podsumuję. Cały ustęp artykułu prof. Wolniewicza poświęcony problemowi eutanazji, poza jego częścią pozytywną, w której autor wyklada własną opcję proeutanazyjną oraz jej motywacje, jest nietrafny lub gołosłowny. Prezentuje on mnie jako agitatora antyeutanazyjnego, którym w swym artykule nie byłem (nie traktuję tego zresztą wcale jako zasługi; konstatuję to tylko). Wyłuszczone zaś przeze mnie *możliwe pobudki* całkiem realnej, przynajmniej u wielu ludzi, niechęci do samobójstwa, a w ślad za tym, albo i niezależnie, do eutanazji, ogłasza *bezpodstawnie*, bo bez dyskusowania tego, co rzeczywiście o owych pobudkach powiedziałem (nie mówiłem, niejako profetycznie: „samobójstwo jest naruszeniem porządku powszechnego”), za sfingowany owoc mactwa sofistycznego.

Przechodzę do drugiej uwagi polemicznej prof. Wolniewicza. Jest to propozycja zinterpretowania Cynceronowskiej zasady sprawiedliwości „każdemu to, co mu się należy” jako odpowiednika *formalnego* zalecenia *realizacji* tego lub innego wcześniej przyjętego zalecenia o charakterze *materialnym*, by oddawać *określone* rzeczy *określonym* osobom. Wszystko, co pisze na ten temat prof. Wolniewicz, akceptuję bez zastrzeżeń.

Szczególnie ważne jest zawarte w tym fragmencie artykułu przypomnienie prof. Wolniewicza, w związku z pojęciem „powinności w ujęciu *materialnym*”, tego, że o konkretnej treści odpowiednich norm rozstrzygają czynniki inne niż jakakolwiek spekulacja. (Byłoby dobrze pamiętać o tym, że stosuje się to w całej pełni również do norm dopuszczających lub wykluczających eutanazję). Uważam tę tezę za niesłuchanie wprost istotną i, co ważniejsze, niezachwianie prawdziwą. Ujmuję ją metaforycznie maksyma łacińska *De gustibus non est disputandum* (takie jest, moim zdaniem, jej rozumienie podstawowe). Są i inne aforyzmy lub przysłowia o zbliżonej treści, np. aforyzm angielski *A man convinced against his will is of the same opinion still* lub przysłowie rosyjskie *Na niet i suda niet*. Tezę tę da się sformułować na sposób tradycyjny jako *ab esse non valet debere*; innymi słowy: z żadnych faktów

samych w sobie innych niż czyjaś wola nie wynika powinnośc, tzn. fakt, iż jakieś działanie jest przedmiotem czyjejś woli. Wokół tego obracały się w dużej mierze moje wywody zarówno w artykule będącym przedmiotem obecnej polemiki, jak i we wcześniejszej części bieżącej wypowiedzi.

Wracając teraz do formułki „każdemu to, co mu się należy”: tak się złożyło, że w artykule pt. *Logiczne, nielogiczne, poalogiczne* („Przegląd Humanistyczny” nr 5, 1996) podałem jej interpretację niemal dokładnie identyczną z tym, co przedstawił prof. Wolniewicz; podałem ją, by wyjść naprzeciw analogicznej wątpliwości na temat mojego tautologicznego rozumienia zdania „każdemu to, co mu się należy”, jaką zgłosił równocześnie z prof. Wolniewiczem prof. Jadacki w swym artykule pt. *O nietykalności życia ludzkiego* („Przegląd Humanistyczny” nr 3, 1996). Różnica między prof. Wolniewiczem a mną jest ta, że on podał swoją interpretację w postaci symbolicznego zapisu mówiąc, że język naturalny ma kłopoty z przekazaniem odpowiedniej „subtelnej”, jak ją określił, dystynkcji logicznej, podczas gdy ja tę samą dystynkcję spróbowałem jednak przekazać środkami języka naturalnego, mianowicie polskiego (oczywiście, musiałem się tu już oderwać od literalnego tekstu *każdemu to, co mu się należy* i zwrócić ku pewnym możliwym *intencjom jego użytkowników*).

Skoro jednak ja zgadzam się w pełni z prof. Wolniewiczem, to w czym on się *nie* zgadza ze mną? Jest tylko jedna możliwa „kość niezgody”: to, czy sformułowanie „każdemu to, co mu się należy” *da się w ogóle* zrozumieć jako tautologia „każdemu należy się to, co mu się należy” (którą przedstawiłem w swym artykule i którą przeoczył w swej polemice prof. Wolniewicz). Ja twierdzę, że tak; prof. Jadacki nie wykluczył takiego rozumienia. Wierzę, że i prof. Wolniewicz taką możliwość w końcu widzi (wskazuje na to bardzo ostrożny sposób, w jaki sformułował on swoją drugą uwagę polemiczną).

Dodałbym tylko jeszcze dwa komentarze. Po pierwsze, takie tautologiczne rozumienie formułki jest tym, co w kontakcie z nią *w sposób najprostszy*, bez „naddania”, przychodzi do głowy i co już w każdym razie jako jej interpretacja jest *bezapelacyjnie* dopuszczalne. Po drugie, znacznie swobodniejsze w stosunku do litery tekstu *nietautologiczne* odczytywanie naszej formułki jest (jak o tym obszerniej pisałem w artykule *Logiczne, nielogiczne, pozalogiczne*; nie będę tu powtarzał odpowiedniego fragmentu swych rozważań) słabym remedium na jej daleko idącą jałowość w zderzeniu z realnymi problemami sprawiedliwości; niestety, dzięki jej nikłej treści można niby-dowodzić, w drodze umiejętnego nią żonglowania, niemal wszystkiego, zamykając przeciwnikom usta pozorem oczywistości.

Pozostaje jeszcze kilka skierowanych przez prof. Wolniewicza pod adresem mojego artykułu kwalifikacji ogólnych i bardziej incydentalnych, do których chciałbym się odnieść.

Po pierwsze, mają tam występować, jak można zrozumieć, liczne dziury w argumentacji oraz paralogizmy. Prof. Wolniewicz podał dwa przykłady. Jak się starałem pokazać, nie są to dobre przykłady ani takich dziur, ani paralogizmów. Co do innych elementów mojego artykułu, o zawartych w nim dziurach argumentacyjnych lub paralogizmach można będzie mówić dopiero w momencie, kiedy ktoś je wskaże (oczywiście osobą wskazującą mógłbym być i ja sam; ale w tej chwili nie umiem tego zrobić). Prof. Wolniewicz *zapewnił* o tym, że takie dalsze przykre momenty tam są, ale ich nie ujawnił.

Po drugie, prof. Wolniewicz uznał mój artykuł za „rozwlekły”. Że jest to artykuł długi, to rzecz pewna (w tym na przykład rozsądnym sensie, że jest dłuższy od średniej artykułów, a w „Przeglądzie Humanistycznym” należy do najdłuższych). Czy mógłby być ponadto krótszy bez utraty treści (taka myśl należy do składników pojęcia ’rozwlekły’)? Trzeba by to pokazać, a tego prof. Wolniewicz nie uczynił. Pozostaje jeszcze subiektywne doznanie czegoś w rodzaju znudzenia. Przyjmuję, że takie doznanie rzeczywiście towarzyszyło prof. Wolniewiczowi, a pewnie i innym, w trakcie lektury. Nie mam powodu sądzić, że to było złudzenie.

Po trzecie, prof. Wolniewicz określił mój artykuł jako „chaotyczny”. Ta kwalifikacja nie została opatrzona żadnym aneksem dowodowym. Muszę przyznać, że byłbym wielce zdziwiony, gdyby ktoś odpowiedni prawdopodobny aneks *tego właśnie* dotyczący sporządził.

Po czwarte, prof. Wolniewicz dopatrywał się uchybienia stylistycznego w moim tytule z jego dopełniaczem przy dopełniaczu (tytuł ten, przypominam, brzmiał: *Świętość jakości życia?*) Trzeba tu zwrócić uwagę na fakt, że tytuł kończy się *znakiem zapytania*. Znak ów wskazuje na to, że chodzi o sformułowanie przeze mnie niejako wkładane w usta komuś innemu. Zresztą świadomy ten chwyt omawiam szczegółowo w tekście artykułu: ma on służyć ściśle określone i istotne dla całości mojej wypowiedzi celowi. Dobrze jest też (z punktu widzenia ogólnej krytyki stylistycznej, nie w odniesieniu do szczególnego wypadku mojego tekstu) pamiętać o tym, że wprawdzie *nagromadzenie* dopełniaczy bywa rzeczywiście zmorą tekstów, ale zbieg *dwóch* dopełniaczy to jeszcze nie ich „nagromadzenie”. A ponadto w pewnych sytuacjach trudno jest znaleźć cokolwiek, co by mogło zastąpić wyrażenie nawet z kilkoma dopełniaczami. Zaproponowałbym tu małe ćwiczenie: co zrobić z frazą *ochrona zdrowia mieszkańców Polski* lub z frazą *problemy ochrony zdrowia mieszkańców Polski* (tak, by w *niczym* nie zmienić ich zawartości informacyjnej)? A także przejrzenie pod tym kątem widzenia tekstów samego prof. Wolniewicza.

Po piąte, prof. Wolniewicz ocenił mój tekst jako „budzący niechęć i sprzeciw” (najpewniej mając na myśli nie tylko swoją niechęć i sprzeciw, lecz także podobne odczucia lub ewentualne odczucia innych osób posługujących się

analogicznymi kryteriami). Doskonale to rozumiem. Jest dla mnie jasne, że gdybym do swoich rozważań dodał mocną aprobatę dla rozwiązania eutanazyjnego, któremu według prof. Wolniewicza przeciwstawia się tylko opcja „bezrozumna”, nie byłoby, przynajmniej w tym szczególnie ważnym dla mojego Krytyka punkcie, miejsca na niechęć i sprzeciw. Z jednej strony wszakże nie widzę, jak rozum ma się stać „optowaniem”. Z drugiej zaś strony po prostu zająłem się czym innym niż „optowaniem”, a mianowicie próbą *zrozumienia* stanowiska antyeutanazyjnego. Trudno jest mi sobie z tego powodu robić wyrzuty. Dodam w tym miejscu, że spotkałem się również z niechętną (a nie mniej poważną niż wypowiedź prof. Wolniewicza) reakcją na mój artykuł motywowaną tym, że nie stanowi on jednoznacznej, połączonej z ostrym odrzuceniem eutanazji, windykacji wizji chrześcijańskiej oraz absolutyzmu „dobra”. Ciekawe jest współlistnienie *tej* oceny mojego artykułu z potraktowaniem go przez prof. Wolniewicza jako prostej deklaracji wierności wobec encykliki *Evangelium vitae*.

Na prawach wzajemności powiem jeszcze na zakończenie kilka słów o własnej reakcji na uwagi polemiczne prof. Wolniewicza (które zechciał on sformułować na zainicjowane przeze mnie zaproszenie Redakcji „Przeglądu Humanistycznego”).

Jest w jego artykule, jak to starałem się pokazać i jak każdy może się przekonać konfrontując oba wchodzące w grę teksty, szereg istotnych potknięć. Doradzałbym każdemu wysiłek w kierunku zapobiegania takim potknięciom (zwłaszcza w zakresie prezentacji tego, co mówią „podsądni”).

Ale są w wypowiedzi prof. Wolniewicza również rzeczy wielce zjednujące. Należy do nich oczywiście piękny przyczynek do rozważań nad 'sprawiedliwością'. Szczególnie jednak podniósłbym powagę, z jaką autor traktuje problem samobójstwa i eutanazji, oraz zrozumienie, nieczęste w pozachrześcijańskim środowisku filozoficznym, dla jego wymiaru niezbywalnie religijnego. A także zrozumienie dla faktu, iż Bóg, nawet jeżeli jego istnienie ma być odrzucone, jest, z logicznego punktu widzenia, osobą dramatycznie odmienną od osoby Świętego Mikołaja (tego od reniferów i prezentów).